

PRZESWIT

ROK IV ŁÓDŹ ~ SIERPIEŃ 1985

Solidarność

POZOSTAĆ SOBĄ

PRZESWIT rozmawia ze ZBIGNIEWEM ROMASZEWSKIM

- kierownika Biura Interwencyjnego byłego KOR-u, współtwórcę Radia "Solidarność" w Warszawie, jedną z najważniejszych postaci opozycji demokratycznej w Polsce.

PRZESWIT: - Niebawem minie 5 lat od upadku Gierka i jego ekipy. W niezależnej publicystyce często pojawia się przesładowanie, że to 5 lat to cała epoka. Że jesteśmy inni - my społeczeństwo, że zmienił się także system dominacji tych, którzy przyznali sobie nieograniczone prawo decydowania o losach narodu jako całości i poszczególnych obywateli. W czasach gierkowskich demokratyczna opozycja zbudowana została na fundamentach prawa do obrony swych praw. To była zasadnicza racja powstania KOR-u czy ROPCIO w posierpniowym PRL-u ludzie uczyli się bronić swych praw. Atmosfera po sierpniu '80 sprzyjała wytworzeniu się tej wewnętrznej swobody, która sprawia, że obywatel, z chwilą gdy jego prawa zostaną naruszone, nie obawia się ich bronić. Stan wojenny usiłował przywrócić normę obywatelskiego lęku i opaw, normę strachu, który jest cementem ustroju. Czy to się udało?

ZR: - Te pięć lat to okres niezmiernie bogaty w historię narodu. Poswiadczenia 16-tu miesięcy "Solidarności" zapadły głęboko w świadomość społeczną. Zmiany tej świadomości uważam za nieodwracalne. Ludzie poczuli się wolni, poczuli się wreszcie pełnoprawnymi obywatelami, gospodarzami własnego kraju. Stan wojenny musiał ich co najwyżej wyuzd z praw obywatelskich, ale nie był w stanie przekreślić przywiązania ludzi do na nowo odczytanych wartości. Z pewnością Związek przestał dla wielu ludzi stanowić organizację broniącą ich interesów. Rozproszony, represjonowany, zepchnięty do podziemia nie może spełniać oczywiście dawnych nadziei. "Solidarność" przeszła więc w sferę społecznego mitu organizującego jednak nadal narodową wyobraźnię. Do panteonu narodowych symboli weszła sama "Solidarność", ale również takie postacie, jak Lech Wałęsa czy ks. Jerzy Popiełuszko. Te symbole dla przeciętnego obywatela znaczą tyle co poszanowanie moralnie słusznego prawa, wolność, współdecydowanie o kształcie Polski, etc. To są fakty społeczne, realnie istniejące, tak jak reakcją nie istniejącym faktem jest granica na Bugu. Tymczasem zarówno politycy z czerwonej strony barykady, jak i ci, którzy określają się mianem realistów, pamiętając chcą tylko o granicy na Bugu, a inne fakty usiłują przemilczeć. Mity społeczne - określenia "mit" używam w znaczeniu opisowym, nie ocenającym - są realnie istniejącymi faktami społecznymi i opartywanie ich epitetami w rodzaju "irrationalne", "emocjonalne", "nierozsądne" nie likwiduje wcale ich społecznego, rzeczywistego bytu. To właśnie owe epitety są wyrazem emocji i rozczarowań, że rzeczywistość jawi się jako bardziej skomplikowana, niż chcieliby realności. Polityka przechodziła obok takich faktów, jak świadomość społeczna czy społeczna aspiracja, jest również nierealistyczna, jak polityka budująca przyszłą Polskę posrodka Pacyfiku. Nie jest możliwa żadna normalizacja czy budowanie społecznego zaufania i współpracy bez uwzględnienia społecznych aspiracji. Polityków wszelkiej masy z kręgu tzw. "porozumienia" przy wszystkich różnicach łączy jedna wspólna cecha: nonszalancja w stosunku do "nieładnego" społeczeństwa, które trzeba jakos urządzić bez jego udziału. Tak więc największa zmiana, jaka zaszła w ciągu mijających niedługo pięciu lat od Sierpnia 1980, dotyczy świadomości społecznej. Społeczeństwo zgnębione kryzysem, trudnościami dnia codziennego mimo wszelkich prób zastraszania pozostało wolne od wszechogarniającego lęku. Lęku, który dezorganizuje tkankę społeczną i więzi międzyludzkie. Ot, takiego choćby lęku, jaki powalił społeczeństwo w czasach stalinowskich. Nawet represja karna ma ograniczoną skuteczność, gdyż zamiast społecznej dezaprobaty czyni i sprawy, w przypadkach skazań i represji za działalność polityczną, społeczeństwo manifestuje swoje uznanie i szacunek dla więzionych ludzi. W tych warunkach trudno jest władzy unicestwić wartości, którymi żyje społeczeństwo.

Kazimierz WIERZYŃSKI

na samym dnie

Jeśli nie zejdziesz na samo dno,
Jak odmierzysz wysokość góry,
Z której spadłeś?

Jeśli nie ockniesz się sam na sam
Z ciemnością, gdy ci oczy napelni,
Jak kiedykolwiek przejrzysz?

Jeśli nie zliczysz swoich kłęk,
Jak odróżnisz przemoc od pychy
I jak się dźwigniesz?

A jeśli dokopiesz się źródła sił
Nawet u dna i w głębi ciemności,
Jeśli odbijesz się stałą,
Powiedz, kim jesteś,
Podaj mi rękę.

ŚWIĘTO POROZUMIENIA(?)

Ireneusz Krzemliński: Polacy - jesień 80, Uniw. Warszawski, W-wa 1983, s. 85-89. Przedruk bez wiedzy i zgody autora, przepraszamy/.

Podpisanie porozumień w Gdańsku i Szczecinie to moment ulgi i radości. Ale jednocześnie podpisanie tych porozumień to moment otwarcia szlabanu, blokującego dotychczas możliwość spontanicznego, społecznego działania. Dla wielu grup i jednostek jest to święto; w centrum zainteresowania leży zbiorowe przeżycie znaczenia umowy, zawartej między władzą a tymi, którzy uznani zostali za reprezentację społeczeństwa; zaś ich żądania - za symbol zbiorowej woli i wspólnej postawy większości ludzi, tworzących polskie społeczeństwo.

Przeżycie tego święta składa się z kilku różnych uczuć - po pierwsze, jest świętem zwycięstwa zbiorowej woli i zbiorowego rozumu nad wolą i rozumem władzy. Władzy, nie tylko stanowiącej bardzo wyraźnie społeczną mniejszość, ale władzy, której wola i rozum od lat konsekwentnie rozwijały się bez brania pod uwagę rzeczywistych, zbiorowych poglądów, potrzeb, interesów i potrzeb społeczeństwa. Co więcej, władza realizowała swoje działania nie tylko nie biorąc pod uwagę potrzeb i opinii ludzi, ale lekceważyła ich, w praktyce zaprzeczając ich kompetencjom do decydowania o swych losach i losie społecznej całości. Po drugie więc, czczone święte odzyskania godności przez tych, którzy - jako tworzący zbiorowość - byli dotychczas jedynie przedmiotem działań władzy.

Udzyskanie godności wiązało się z nobilitowaniem podstawowej roli społecznej: "bycie członkiem społeczeństwa" to bycie świadomym i odpowiedzialnym podmiotem działań społecznych. Jako "członek społeczeństwa" jednostka ma prawo do podejmowania działań społecznych i do publicznego wyrażania swaj opinii na temat działań, podejmowanych przez innych. Ma to swoje jakie konsekwencje: mam prawo do podejmowania działań, wiążących się z moją bezpośrednią sytuacją oraz mam prawo do wyrażania w roli obywatela, czyli podejmowania działań, mających na względzie funkcjonowanie społeczeństwa jako całości. Utrajkujący robotnicy wywrzeża, podpisujący porozumienie z Komisją Rządową, wystąpili w tych dwóch rolach: wygrali walkę o zabezpieczenie interesów i sytuacji życiowej robotników oraz wygrali walkę o prawo do występowania w roli obywatela. Dlatego też - po trzecie - podpisanie porozumień było manifestacją i przeżyciem więzi społecznych. Dla wszystkich, uznających się za robotników, zwyciężyli "nasi" robotnicy jako reprezentanci interesów, wartości, woli grupowej. Dla ogromnej rzeszy innych - robotnicy zwyciężyli "dla nas" / lub nawet "za nas" / robotnicy jako reprezentanci społeczeństwa, jako obywatele. W obu wypadkach oznacza to pozytywne i wiążące ziotwórcze uczucia. Ale to przeżycie więzi, płynące z bezpośredniego lub pośredniego zwycięstwa "naszych" było też pierwszym od wielu lat przeżyciem pozytywnego stosunku do władzy. Czwarą element sytuacji tego "święta wyrazić można paradoksem: przegrując, władza zwyciężyła, zyskując społeczne uznanie. Dzięki temu, że idea negocjacji i kompromisu zwyciężyła ideę represji i konfrontacji, władze partyjno-rządowe uzyskały swego rodzaju społeczną aprobatę. Ta przemiana "władzy" we "władzę partyjno-rządową" w poprzednim zdaniu nie jest przypadkowa: rządzący uzyskali odciec. Objawiły się ich różnice między nimi jako osobami. Trudno to precyzyjnie wyrazić. Najogólniej chodzi o to, że dotychczasowy obraz w zasadzie anonimowej "władzy" symbolizowanej co najwyżej nazwiskiem i sylwetką i sekretarza KC PZPR, obraz jakiegś nie do końca określonej grupy rządzącej / "oni" / uległ rozdzieleniu. "oni" okazali się być zróżnicowaną i złożoną grupą ludzi, których działania wyznaczone są splotem różnych funkcji, podporządkowań, ustalonych hierarchii i interesów - słowem, wyznaczonych przez układ określonych i dających się teraz bardziej wyraźnie odczytać ról społecznych. Było to możliwe dzięki temu, że podpisanie porozumień wskazywało, iż "oni", owa "władza" jest w stanie działać, biorąc pod uwagę, nie tylko swój własny interes /narzucający społeczeństwu i wypowiadający jako "obiektywny interes" narodu i państwa/, ale że może podjąć działania, uwzględniające rzeczywiste interesy społecznej całości. Stwarzało to płaszczyznę wspólnoty: wprawdzie "my" i "oni" mamy nadal różne interesy, ale ta /choćby podstawowa/ rozbieżność kształtuje się na bazie bardziej elementarnej, najogólniejszej wspólnoty - jest taki punkt, kiedy wszyscy jesteśmy "my". Dopiero w oparciu o to "my" /Polak z Polakiem potrafi się dogadać/ rozwija się rozbieżność. Po piąte zatem, podpisanie porozumień miało charakter świę-

ta narodowe. Uruchamiało to symbolikę najistotniejszą dla tradycji narodowej, przede wszystkim włączając w obręb święta tradycję religijną i katolickie symbole. Stało się to święto manifestacją tożsamości narodowej - wielkimi obchodami na cześć narodowej tożsamości. Wzmacniało to element, wymieniony poprzednio jako drugi: przeżycie odzyskania godności osobistej przez ludzi jako członków społeczeństwa. "Społeczeństwo" uzyskało w pełni nowe znaczenie dzięki przeżyciu tożsamości narodowej, chociaż sens "społeczeństwa" jako zbiorowości podmiotów, jako współodpowiedzialnych za los całości społecznej jednostek, jako świadomych obywateli nie pokrywa się ze znaczeniem i przeżyciem sensu "narodu".

Jednakże bycie członkiem "narodu" najwyraźniej się wiąże i wzmacnia tendencję do przeżywania siebie w kategoriach "podmiotowego bycia członkiem społeczeństwa". Wszystko to prowadziło do jeszcze jednego - szóstego elementu - można było przestać się bać. Podpisanie porozumień to wielkie święto ulgi, święto swobodnego oddachu, uwolnienie tej potężnej porcji energii, którą włączył, paraliżował i pochłaniał lęk. Uwolnienie od lęku odczuwane jest zawsze przez człowieka co najmniej jako wielka ulga, na ogół - jako wielka radość. Radość sprzyja i wigzi społecznej, i rozwojowi refleksji - rozwojowi myślenia i społecznej świadomości. Lęk paraliżuje aktywność tak intelektualną, jak praktyczną. Uwolnienie się od lęku, a choćby jego zmniejszenia lub zmiana uogólnionego załknienia w ściśle określone obawy, otwiera przed człowiekiem zupełnie nowe możliwości bycia w świecie. Podpisanie porozumień - chociaż nie usuwało do końca lęku i obaw - zmieniło niewątpliwie ich charakter; zniknął ten lęk paraliżujący, rozlan, nie dający się dokładnie sprecyzować i przenikający wszystkie sfery możliwego działania.

I dlatego też moment podpisania porozumień na Wybrzeżu jest nie tylko, a może nie przede wszystkim świętem, ale momentem, w którym rozpoczyna się niezwykła społeczna aktywność, rodzi się szeroki ruch społeczny, na którego fali zrodzi się w końcu września ogólnopolski NSZZ "Solidarność".

Znak zapytania przy tytule pochodzi od redakcji

ZYCIORYS MŁODEGO ROBOTNIKA

Piotr Dudziak

Mam 23 lata, żonę, dwoje dzieci
i garba
Chodzę jeszcze do roboty
I wracam z roboty
Kłamie wszystkich,
ze jest to praca
A przecież oni wiedzą
Jak się sprzedajemy
Kiedyś chodziłem do szkoły
i miałem ideały
Szkołę skończyłem a ideały
podeptano
Okutymi buciorami
W akordowej żebaczce
nauczono mnie marzyć
O tym
Ze jestem nieczułym automatem
Chciałem nawet uciekać
Lecz dokąd
Do wyboru były ponure tatuaże
To samo
I jeszcze to trzęcie
Więc zostałem bo ojciec mi mówił,
ze jestem Polakiem.
Przyszedł lipiec i sierpień
myślałem, że zmartwychwstałem
Przyszła "Solidarność"
myślałem, że niebo
Zapomniałem w robocie o automacie
Lecz myliłem się sądząc
Ze wszyscy to ludzie
Z pragnieniem w kartki wdrukowanym
Stałem w kolejkach
Z ulgą odetchnąłem wiedząc
Ile mamy wrógów wokoło
Naprawdę szczerych
Mam 23 lata, żonę i dwoje dzieci
Mam jeszcze garba - własnego
I nie wiem
Czy krasa to sły czy dobry uczynek
I czy najlepiej Ojczyznę.

Autorem tego wiersza, młody robotnik PSC Lublin, przesłał go do redakcji Tygodnika "Solidarność" latem 1981 roku na konkurs zatytułowany: Zyciorys młodego robotnika.

C.D. rozmowy

PRZESWIT: - Dają się jednak słyszeć głosy rozgoryczenia i krytyki stanu polskiej opozycji.

ZR: - Krytykować można i należy zawsze. Zaś rozgoryczenie jest chyba wynikiem punktu, z jakiego się patrzy na rzeczywistość. Jeśli tym punktem jest jawnie działający 10-milionowy związek podejmujący rokowania z władzami i często przeprowadzający swoją wolę, to istotnie trudno stan obecny uważać za pomyślny. Jeżeli cofniemy się o te 5 lat, do kwietnia 1980, to warto przypomnieć, że wówczas całe społeczeństwo /chyba rzeczywiście prawie całe/ dało wyraz swemu "poparciu dla programu FJN" w wyborach do Sejmu. Z takiej perspektywy dzisiejsza kondycja i opozycji i społeczeństwa nie wygląda już tak mizernie. Wtedy była nas rzeczywiście garstka - może 2, może 5 tysięcy ludzi. Nikt tego dokładnie nie liczył. Tyle było ludzi zdeterminowanych, znających swoje prawa i gotowych o nie walczyć. Gdyby w tym czasie ktoś powiedział nam, że za 5 lat opozycja będzie na terenie kraju drukować około 1300 czasopism periodycznych, że kilkanaście oficyn będzie wydawało rocznie kilkadziesiąt tytułów, że w kościołach na mszach za Ojczyznę gromadzą się dziesiątki tysięcy ludzi gotowych dać świadectwo swej postawie, że represje stosowane przez państwo spotkały się z autentycznym potępieniem opinii międzynarodowej, że w końcu potępienie to było tak jednoznaczne, iż władze zmuszone były wystąpić z MOP, gdyby - powtarzam - ktoś to nam wszystko prognozował 5 lat temu, pewno uznalibyśmy go za wariata.

Powstanie "Solidarności" we wrześniu 1980 było dla nas czymś zupełnie nieoczekiwanym i zaskakującym. Jeszcze w lipcu, w odróżnieniu od Jacka Kuronia czy Henka Wujca, takiej możliwości nie przewidywałem. Powstanie "Solidarności", o czym się dziś zapomniało, nie było wcale wynikiem długotrwałej i masowej walki o podmiotowość społeczeństwa i prawa obywatelskie. Było pewnym niezwykłym społecznym fenomenem zbiegu historycznych okoliczności. Graniczyło wręcz z cudem. Dziś są nas na pewno setki tysięcy, jeśli nie miliony ludzi gotowych walczyć o swe prawa - to już zupełnie inny wymiar naszej walki. Rzeczywistość, która nas otacza, jest na pewno bardzo ponura i trudno się dopatrywać jasnych perspektyw, ale właśnie ten wzrost społecznego zaangażowania, determinacja ludzi na nie spotykaną dotąd skalę jest tym elementem, który należy brać pod uwagę, mówiąc o opozycji. Jest to czynnik, który w moim najgłębszym przekonaniu zdecydowanie o tym, że przysiężną, odrodzoną "Solidarność" będziemy w stanie znowu wywalczyć i obronić na trwałe.

PRZESWIT: - W wywiadzie dla "Tygodnika Łazowskie" /L. nr 102 z 16.10.84/ stwierdziłeś, że zamierzasz złożyć jawnie i zajmować się nadal sprawami praworządności. Potrzeba po temu jest niezaprzeczną, ale czy istnieją możliwości? Czy reżim - znając przecież niebezpieczną dla siebie, demaskującą rolę Biura Interwencyjnego - nie jest w stanie rozoić każdej podobnej inicjatywy obywatelskiej w zarodku?

ZR: - Trudno jest mi na łamach "Przeswitu", zresztą na jakichkolwiek łamach, wypowiadać się do końca o tym, jak wyobrażam sobie taką działalność. Możliwość istnienia również i dziś. Oczywiście, należy liczyć się z represjami, ale w końcu o wyniku działalności prowadzonej w tej formule decyduje determinacja obu stron, a nie tylko brutalność jednej. Trzeba sobie jasno zdawać sprawę z tego, że walka z nami to walka z ludźmi, którzy chcą przestrzegać prawa pod warunkiem, po pierwsze - że prawo to zobowiązuje również władze, po drugie zaś - że to prawo nie jest zaprzeczeniem tych podstawowych i niezbywalnych praw ludzkich, które człowiek posiada ze swej natury, a nie z nadania jakiegokolwiek władzy. Skoro więc takie prawa posiadamy, to rzeczą najwyższej wagi jest obrona tych praw. W naszych warunkach jest to samoobrona. W procesie KOR-u prokurator dokonywał niezwykłych sztuczek, aby z materiału dowodowego i aktu oskarżenia wyłączyć wszystko, co wiązało się z moją podstawową działalnością - działalnością w Biurze Interwencyjnym. To najlepszy dowód rzetelności materiałów, które zgromadziliśmy, a zarazem dowód sensu i celowości takich prac. Dlaczego warto tu działać jawnie? Po pierwsze dlatego, że mamy do tego niezbywalne prawo moralne - prawo do reagowania na ludzką krzywdę, na niesprawiedliwość, na przemoc, i sam fakt korzystania z tego prawa stanowi dla ludzi pewien wzorzec, dodaje otuchy, ratuje międzyludzką solidarność. Po wtóre, jawność zwiększa wiarygodność przekazywanej informacji. Jest ktoś, kto wie i ten ktoś swym imieniem i nazwiskiem gwarantuje prawdziwość informacji. Po trzecie wreszcie - ludzie skrzywdzeni wiedzą, do kogo się zwrócić. Oczywiście, w systemie niekontrolowanej władzy zrobić coś konkretnego dla skrzywdzonych ludzi jest bardzo trudno, ale często sam fakt, że jest ktoś, kto jest ich w stanie choćby wysłuchać i uznać ich racje, jest wystarczającym uzasadnieniem potrzeby istnienia instytucji w rodzaju Biura Interwencyjnego. I wreszcie argument ostatni, a przez to wcale nie najmniej ważny. Nie ma absolutnie znaczenia, że władza nie uznaje celowości społecznej i kompetencji obywatelskich zajmujących się nadzorowaniem przestrzegania prawa i praworządności, instytucji patrzącej władzy na ręce. Chce czy nie chce, władza musi się liczyć z tym, że instytucja taka ujawni fakt możliwe zzeroko w kraju i za granicą. Można będzie wówczas kłamać albo schować głowę w piasek.

Ale będzie to zawsze świadoma polityka. O tym zaś, że nadal daje się działać jawnie, zaswiadcza Komitet Obywatelski Przeciw Przemocy. Sam fakt ich istnienia doprawdy trudno przecenić.

PRZESWIT: - Społeczeństwo ze zdumiewającym lekceważeniem, biernością i beztróską przyjmuje wszystkie próby władzy zmierzające do zwiększenia represyjności systemu prawa. Gdyby bez uprzedzenia nawet przejrzyły wszelkie uprawnienia władzy do ingerencji w życie obywatela, te wszystkie możliwości prewencji i represji, jakie władza sama sobie nadaje, rychło okazałyby się zarzut państwa policyjnego nie jest wymyślony przez zagranicznych przeciwników. Ta władza chce nas pokonać, a nie przekonać i sposobi się do tego wszelkimi możliwymi sposobami. Od "prawnego" uregulowania płdowania torebek przechodników po obowiązkowo "prawną" a więc "legalną" możliwość strzelania tymże przechodniom w plecy. Ostatnie propozycje /już uchwalone przez Sejm - przyp. red./ zmian w prawie karnym spod znaku pałki i porządku wzbudziły sprzeciw nawet powolnego władzy Sądu Najwyższego. Czy nie sądzisz, że w działalności niezależnej nie przegapiamy tego niebezpieczeństwa, którego przeciętny obywatel nie jest zupełnie świadomy, póki go bezpośrednio nie dotknie?

ZR: - Istotnie ostatnie pomysły zmian w prawie i procedurze karnej budzić mogą przerażenie, podobnie jak przerażenie budzi postawa społeczeństwa, które nie reaguje w dostatecznie ostry sposób na narzucanie sobie kagańców praw. To bardzo szeroki problem, któremu na imię kultura prawna. Nasza kultura prawna jest uwarunkowana historycznie. Od dwustu lat z maką przerwą w II Rzeczpospolitej, w tym kraju prawo jest prawem obcym, prawem broniącym cudzych interesów, prawem nie posiadającym moralnej sankcji społeczeństwa. Tego społeczeństwa, które musiało niegdyś i musi obecnie działać poza prawem, wbrew prawu, w jego lukach. Tak przetrwało zabory i okupację hitlerowską, tak weszło i trwało w PRL, którego to ludowego okresu ukoronowaniem był stan wojenny. Liczą się fakty, a nie prawo - to przekonanie dominuje w opinii społecznej. Społeczeństwo ma bogate doświadczenia w łamaniu narzucanego sobie i ubezwłasnowolniającego je prawa. "Terror lat powojennych, stalinizm i dzisiejsza praktyka obywatela w kontaktach z władzą decydują o przeswiadczeniu, że decydującym czynnikiem jest doradzający interes jakiejś grupy partycyjnej we władzy, a nie formalnie obowiązujące prawo." Po co więc walczyć o prawo, skoro przez 40 lat PRL udało się skutecznie wpoić ludziom przekonanie, że o wszystkim decyduje siła? To przekonanie podzielane jest przez obie strony: prześladowanych i tych, którzy prześladują. Praworządność to był przecież temat delikatny i wstydlivy w czasach istnienia oficjalnej "Solidarności". A. Geliński w 18 numerze "Krytyki" pisze wyraźnie, że problematyka praworządności została w początkowym okresie istnienia Związku świadomie wyeliminowana spośród problemów podejmowanych przez władzę Związku jako problematyka zbyt kontrowersyjna i rodząca natychmiastowe napięcia polityczne w rozmowach z przedstawicielami rządu. Głównie zrazu sądzono, że uda się ominąć albo odwrócić sprawę do lepszych czasów. Jak przekonać istniejące stereotypy i sposób myślenia, jak propagować ideał państwa prawnego w rzeczywistości, które prawo sprowadziło do narzędzia dominacji państwa nad obywatelami? To ogromnie trudne i skomplikowane zadanie, które bezwzględnie musimy podjąć. Podnoszenie kultury prawnej społeczeństwa jest jednym z naszych zadań. Problemy zawarte w tym ogólnym pojęciu podjęło pismo "Praworządność", choć doskonale zdajemy sobie sprawę z tego, że nasze wysiłki są nieproporcjonalnie do rangi i szerokości problemu. Sądzę - i niech to będzie apel również do "Przeswitu" - że problemy praworządności winny być obecne na łamach całej prasy niezależnej. Trzeba poszukiwać formuł, które ukazałyby ludziom wartość szacunku dla prawa, choć będzie to trudne w sytuacji, kiedy obowiązujące prawo nie ma społecznej akceptacji. Jeśli naszym ideałem jest przyszła Polska prawa, a nie przemocy, to budowę takiej Polski musimy rozpocząć już dziś w obywatelskiej świadomości.

jest pracownik przede wszystkim sumienny. Sumienny, który... no... nie potrzebuje żadnego nadzoru, wykonuje swoją pracę i wykonuje ją w sposób... w sposób bardzo uczciwy, bo z tej jego pracy ja później wyciągam wnioski i jeżeli... prawd... on dziś szuka, to wnioski wyciągane przede mną są fałszywe i wterczas automatycznie decyzje podejmowane są również niewłaściwe".

Najważniejszy jest zatem efekt produkcyjny. On wyznacza układ odniesienia dla oceny innych spraw. Alkoholizm jest zły nie w ogóle, ale dlatego, że niszczy potencjał ludzki, sumiennosc i przygotowanie zawodowe są cechami pozytywnymi, gdyż od nich zależą wyniki osiągane przez kierownika, stosunek między ludzkie są ważne nie same z siebie, lecz dlatego, że te nastroje wśród robotników zaważyć mogą na wyniku produkcji. Inaczej mówiąc, robotnik, jego cechy i nastroje traktowane są instrumentalnie, mają znaczenie o tyle, o ile wywrzeć mogą wpływ na końcowy rezultat procesu produkcji. I to nie cechy czy nastroje jednostki a cechy i nastroje całej grupy. Jednostka znaczy zbyt mało, by zawracać nią sobie głowę. Postawę tę dobrze ilustrują odpowiedzi na pytanie o siłownosc strajku za Narożnika. Mówi zastępca dyrektora PGR-u "Syc może, że on był nieskutecznie zatrzymany, ale użycie... po wiedzy, parowozu do wyjęcia jakiegos słupka małego jest rzeczą, według mnie, nieekonomiczną i niezasadzoną". Podobną opinię wyraża dyrektor szkoły podstawowej: "///.../ Likomu się tam jeszcze krzywdy nie działo wielkiej, że został zatrzymany, naprawdę, a zatrzymanie produkcji, zrobienie atmosfery tak strasznie nerwowej w całym społeczeństwie, to naprawdę nie jest dobrze". I jeszcze odpowiedzi przewodniczącego Rady Zakładowej orzanowych związków zawodowych: "Bo chodzi tu... jeden człowiek, a jaka strata jest dla gospodarki narodowej... tego typu argumentacja występuje wyłącznie w wypowiedziach kierowników".

Koncentracja na efekcie produkcyjnym, przedmiotowe traktowanie robotników to czynniki, które - prawdopodobnie - są odpowiedzialne za wytworzenie się globalnego obrazu klasy robotniczej. Grupa ta postrzegana jest jako pewna jednorodność - całość, wymieniane cechy przypisuje się robotnikom, a nie jakiegos określonej kategorii robotników. Dla większości kierowników robotnicy stanowią bezkształtną masę, często określaną zamiennie, jak wspominaliśmy, mianem "ludzie" czy "społeczeństwo". Przejrzyjmy się zatem, jakie to cechy wchodziły w skład tego globalnego portretu.

A więc, są to przede wszystkim ludzie motywowani w swych działaniach głównie potrzebami bytowymi. Mówi kierownik budowy: "Ja uważam, że jeżeli by było jedzenie, nie byłoby mowy o żadnym kryzysie politycznym w kraju. P: To znaczy, że ludzi dałoby się przekupić? O: Nikt by się nie ruszył, wąska grupa, która by się domagała tych swobód demokratycznych, by działała, ale by nie znalazła tak szerokiego poparcia w narodzie. //.../ P: Czy myślisz, że ludźmi bardziej zależy na tym, żeby to dobrze szło, czy żeby mogli mieć wpływ na przebieg wydarzeń? O: Uważam, że społeczeństwo, w szerokim tego słowa znaczeniu, zadowoliliby się, żeby to dobrze szło, wtedy na pewno by poczynili wpływ na to, co się dzieje". Wtoruje mu dyrektorka szkoły: "Bo robotnicy, autentyczni robotnicy, to będą walczyć o swoje prawa na terenie zakładu i o zakład jako taki - ja mam kontakty z robotnikami, prawda - natomiast do tych rzeczy już wyższego rzędu, jak sprawy kultury, cenzury, oświaty to już musi być, wydaje mi się, pewna inspiracja".

Inny respondent, kierownik działu w jednej z central handlu, dopuszcza u robotników zainteresowania możliwością wpływu na przebieg wydarzeń, lecz odmawia im kompetencji w tym zakresie. "Tak więc, jeżeli mówimy o robotnikach, to ja się zetknęłam przede wszystkim z potrzebą zaspokojenia tych, tak zwanych, najbardziej prymitywnych potrzeb człowieka, czyli - dobrze zjeść, wypić, przejść się z żoną w niedzielę do kościoła no i - może nie tak bardzo wyraźnie - żeby mieć wpływ na zarządzanie zakładem. Nawet jeżeli nie mają do tego kwalifikacji lub też ich poglądy są zupełnie irracjonalne i mogłyby przynieść duże straty, gdyby zostały zrealizowane, to jednak jest w nich taka potrzeba, żeby rządzić. Co najmniej własnym środowiskiem czy własnym zakładem".

Inny respondent, zapytany o to, jaka jest różnica w stylu życia między kierownikiem a zwykłym robotnikiem, odpowiada: "Jaka jest różnica? Mam taką grupę, którą na przykład dojeżdżają 80 km do Warszawy, wstają o 3 rano po to, żeby być na 7 w pracy i po to, żeby wrócić później o 8 do domu. Jest różnica, bo ci ludzie żyją w sumie jak zwierzęta. To jest podstawowa różnica, bo wydaje mi się, że jednak my inaczej żyjemy".

Postrzeżane różnice dotyczą nie tylko potrzeb, lecz również spraw ogólniejszych. Pytaliśmy na przykład naszych respondentów, dlaczego ludzie domagają się wolności słowa. Jedynie osoby na stanowiskach kierowniczych poddawały w wątpliwość sugestie zawartą w pytaniu. Mówi kierownik budowy: "Ilu tych ludzi w Polsce domaga się wolności słowa? Tak naprawdę, którym zależy na wolności słowa? Jedni mówią, że trzeba poszerzyć zakres informacji. Czy pamiętamy "jedynkę", świętą pamięci "jedynkę"? Ja uważam, że mniej więcej taki sam procent, nie zależy mu na wolności słowa. Uważam, że 90% społeczeństwa, może 80% słuchacza tej "jedynki" z pełną wiarą. Ja mam szeroki kontakt z tymi przeciętnymi ludźmi. Kupowali to, brali to jako pewnik".

Podobnie postrzegane są różnice w stosunku do religii. Sekretarz POP-u w dużym zakładzie stwierdza: "Jeżeli chodzi o tak zwaną głębokość wiary, wydaje mi się, że bardziej jest to w tej chwili w środowiskach inteligentnych, jeżeli już ktoś wierzy to wierzy... to w sposób taki głęboki, natomiast tu /tzn. wśród robotników/ jest pewna tradycja i to chyba jest wynikiem tej pewnej tradycji, a nie jakichś przeżyć z potrzeby wewnętrznej".

A więc dominacja potrzeb materialnych połączona z chęcią rządzenia, przy braku jakichkolwiek kompetencji w tej dziedzinie oraz prymitywne zainteresowania w pokąszeniu z niezależnością do bardziej wysublimowanych przeżyć - to główne rysy portretu robotnika. Pojawianie się potrzeb wyższych na

ROBOL I PODOPIECZNY

-kierownicy o robotnikach

/Kirosława Marody: "Polacy '80", Uniw. Warszawski, W-wa 1981, s. 35-48; opracowanie bez wiedzy i zgody autorki; przeproszamy./

Zacznijmy od takiej ogólniejszej postawy. Otóż, dla osób zajmujących stanowiska kierownicze robotnik jest jednym z wielu elementów w procesie produkcji. To przedmiotowe traktowanie wyraża się przede wszystkim w używaniu specyficznych określeń wtedy, gdy mówi się o robotnikach, takich jak "materiał, z jakim mam do czynienia", "potencjał ludzki" itp. Kierownik działu tak oto mówi o alkoholizmie, jako o zjawisku społecznym: "To jest choroba społeczna w tej chwili, to muszą wszyscy uczestniczyć w tym, żeby nie bagatelizować własnie, nie darować tym wszystkim, którzy piją, no bo tym bogactwem, jakim jest potencjał ludzki w produkcji... jeżeli on jest niesprawny... to część tego społeczeństwa... to jest po prostu kulą u nogi dla tych, którzy muszą solidnie pracować i niewiele zarabiają więcej od tych..."

Cechy owego "potencjału ludzkiego" warunkują efekty osiągane przez kierownika. Dlatego ważne jest przygotowanie zawodowe, ważna jest także sumiennosc. Mówi sekretarz POP zatrudniony w dużym zakładzie: "W moim zakładzie potrzebny

tko... O: Czy odbierają - trudno mi powiedzieć, ale w każdym razie zawsze się mówi no, to ci najniższ zarabiający... Ci najniższ zarabiający, a jak my tutaj mówimy: chłopie, masz rodzinę, no to weź się za jakąś konkretną robotę, jesteś... no przypuszczam, jesteś technik, no ale idź na warsztat na przykład, idź na mistrza - popracujesz i zarobisz dwa razy tyle. Nie - on tylko za biurokraciami za 2700 czy za 3100. I wykazuje tylko, że on ma małą średnią na osobę, no... Matomiast, żeby sam pomyslał o tym i starał sobie poprawić warunki przez pracę - to nie! /.../ To jest też na pewno niesprawiedliwe".

I w ten sposób wróciliśmy do punktu wyjścia. Nieodpowiedzialni, leniwi, starający się wykorzystywać władzę - to ludzie, których trzeba prowadzić za rękę, którymi trzeba kierować. I tym układzie, sierpniowe wystąpienia robotnicze jawią się nieoczekiwani jako uboczny produkt owych, niezbyt serio traktowanych działań wychowawczych. Jak bowiem stwierdza sekretarz POP-u w dużym zakładzie: "... to jest wyraz pewnych potrzeb społecznch, oczywiście ustanowionych przez odpowiednie lata naszej propagandy, którą żeśmy społeczeństwo karmili, bo to też nie wynikałoby ze wszystkich rzeczy, powiedzmy, z tego, że oni sobie to przemyśleli, tylko to są potrzeby społeczne pod... pod tą propagandą, którą żeśmy prowadzili... Sami ich tego nauczyliśmy".

LIST DO REDAKCJI CZYM JEST DLA MNIE **SOLIDARNOSĆ**

Jak wynika z tytułu, nie będzie to rozprawa naukowa ani też program dotyczący przyszłości ruchu związkowego w Polsce, ale zbiór moich refleksji i przemyśleń na temat powstania, trwania, przyszłości i znaczenia "Solidarności" jako ruchu, który nie powstał wyłącznie z woli ludu, ale został dany narodowi polskiemu przez Boga.

Na początku muszę zaznaczyć, że jestem robotnikiem i pracuję w jednym z większych łódzkich zakładów. Prowadzę działalność związkową w zakładzie i poza nim. Dużo czytam prasy podziemnej, książek i innych publikacji, ale w żadnej z nich nie znalazłem w pełni zadowalającego mnie artykułu, który dokładnie tłumaczyłby zjawiska, jakie ostatnio miały miejsce w Polsce. Dlatego postanowiłem napisać, co myślę na ten temat.

Dla mnie, jak i dla wielu ludzi, wprowadzenie stanu wojennego było jedną z największych tragedii przede wszystkim dlatego, że uderzono w to, co najbardziej kochałem, w to, co dało mi wiary w człowieka i perspektywę w przyszłość, tj. w "Solidarnosć". Pierwsze miesiące stanu wojennego były wielkim szokiem, ale później przyszedł czas na refleksję. Zrozumiałem, że "Solidarnosć" nie mogła dłużej istnieć jawnie i że wcześniej czy później byłaby zniszczona, nieważne, jakim sposobem. Mogłoby to nastąpić przez utratę autentyczności przy ustępowaniu wobec komunistów albo przez siłowe uderzenie, co nastąpiło. Dlatego cieszę się, że "Solidarnosć" trwała jawnie aż 16 miesięcy, gdyby ktoś z nas zapytał jeszcze na początku 1980 r. czy w Polsce może powstać coś takiego jak "Solidarnosć", to wątpli, czy ktoś dałby pozytywną odpowiedź. A jednak stało się to, na co nikt nie był przygotowany. I to jest, według mnie, ingerencja Boga, który działa w historii człowieka w sposób, który jest dla niego niepojęty. Bóg powołał w Polsce "Solidarnosć" w ostatnim momencie, gdy degeneracja i sowietyzacja społeczeństwa doznała już granic. Bóg objawił swą moc nie po to, abyśmy zaspokojili swoje ambicje polityczne czy też przywódcze, ale po to, by ratować naród, a przede wszystkim każdego Polaka z osobna, z bagna, w które wpędził nas komunizm, tj. od dobrowolnego niewolnictwa, utraty tożsamości, pijanstwa, od utraty wiary w człowieka, demoralizacji, a przede wszystkim od odłączenia nas od Kościoła i od Boga. Korzyści, które przyniosła "Solidarnosć", są w większości niewymierne i tylko każdy w swoim sumieniu może określić, czym były dla niego strajki, publikacje związkowe, a później - msze rocznicowe u uciełki przed pałami zomowców, petycje do władz i Sejmiku PRL o uwolnienie naszych kolegów. Każdy sam sobie może odpowiedzieć, czy "Solidarnosć" mogła powstać i czy może się odróżnić wyłącznie od siłach ludzkich.

Często zadawałem sobie pytanie, jak to możliwe, aby rozbici 10-milionowy ruch i spacyfikować prawie cały naród w ciągu jednej nocy oraz dlaczego Bóg do tego dopuścił. Było, oczywiście, sporo błędów z naszej strony względem "Solidarności" i Boga, ale to nie są główne przyczyny. Odpowiedź znalazłem w nauce Jezusa Chrystusa, który przez krzyż doszedł do prawdziwego życia. I stan wojenny miał nas obudzić, miał nam pokazać, że tylko sam Bóg może pokonać komunizm, że "Solidarnosć" powinna prowadzić nas do ujżenia Bożej potęgi, a stan wojenny - naszej słabości. Na potwierdzenie tego muszę powiedzieć, że dopiero po wprowadzeniu stanu wojennego poszedłem do Kościoła, aby szukać pomocy u Boga. Przesłałem wierzyc, że człowiek może zapewnić sobie pokój, że "Solidarnosć" może dać nam wolność Bóg przypomniał, że prawdziwa wolność człowieka nie polega na wolności jego Ojczyzny, że człowiek może być prawdziwie wolny tylko w Nim i tylko On może dać człowiekowi pokój, wolność całkowitą i szczęście.

Komuniści już wydali na siebie wyrok, ale my możemy osiągnąć Zbawienie. Możemy tego doświadczyć przez świadome wypełnianie Chrystusowej Ewangelii, przez stawianie Boga ponad wszystkim. Dlatego nie możemy dawać posłuchu wezwaniom do nienawiści i zemsty. Musimy jak najbardziej wchodzić w tajemnicę Zbawienia, rozumieć to, co się dzieje, oraz pielęgnować i rozwijać to, co w nas najlepsze i najbliższe Bogu. Powinniśmy także działać i na zewnątrz, gdyż nam samym jest to trudne wypełnić. Wydaje mi się, że jeżeli było możliwe wprowadzenie stanu wojennego, to możliwe jest także uderzenie w Kościół. Dlatego powinniśmy być przygotowani, tym bardziej że są na to do wody /śmierć ks. Jerzego Popiełuszki, rewizje, procesy księży itp./ Nie byłbym zdziwiony, gdyby któregoś dnia zobaczył czołgi uniemożliwiające wejście do Kościoła. Wielu powie, że to niemożliwe, że Papież, że świat..., ale ja już teraz wiem, że oni są do wszystkiego zdolni. Dlatego też zabezpieczamy to, co ciągle ratuje przed zagładą nasz naród - Kościół Polski. Uważam, że jest to problem do przemyślenia, że jest na pewno wiele rozwiązań.

Ja bym przede wszystkim proponował utworzenie przy kościołach grup modlitwanych, w których znajdowałiby się ludzie w różnym wieku, z różnych grup społecznych, w których musiaby znajdować się ksiądz. Spotkania mogłyby odbywać się w pomieszczeniach parafialnych lub prywatnych. W czasie spotkań proponowałbym czytanie wybranych fragmentów Pisma Świętego i odnośnienie ich do własnego życia oraz przekazywanie informacji o Kościele w Polsce. Można by prowadzić tam samopomoc oraz działalność charytatywną, a także przeprowadzać prelekcje, wyświetlać filmy o tematyce religijnej. Grupy te powinny mieć charakter czysto religijny i nie mogą być wykorzystywane do celów politycznych. Powinni znajdować się w nich ludzie, którzy ceną pogłębić swą wiarę w Boga. Grupy te mogłyby kontaktować się ze sobą przez tzw. "odpowiedzialnych". Po dokładnym poznaniu się członkowie, dzięki czemu w razie jakiegoś zdarzenia wspólne modlitwy mogłyby trwać nadal. Myślę, że jest to jedna z wielu możliwości organizowania społeczeństwa wokół Kościoła i zabezpieczenia tego, co dla nas Polaków jest najważniejsze. Wpłynęłyby to także na pogłębienie świadomości religijnej narodu, jego samoorganizacji, co w największym stopniu zabezpieczyłoby przed komunizmem, który największą szkodę przynosi niszcząc samotnego człowieka w jego wnętrzu. Słowo Bóg dałoby nam światło na nasze życie, pomogłoby nam zobaczyć, co stoi na przeszkodzie, abyśmy byli szczęśliwi już teraz, na Ziemi. Tym bardziej, że nie ma chyba wśród nas nikogo, kto nie odczuwałby nienawiści, chęci zemsty, złości, chęci bycia pierwszym, dowodzenia zawsze swoich racji oraz, co najważniejsze, strachu przed cierpieniem. Pamiętajmy, że Bóg może zmienić wszystko, co jest w nas złe, co prowadzi nas do ostatecznej śmierci, ale najłatwiej może to czynić wówczas, gdy Go ciągle szukamy, gdy Go pragniemy, gdy jesteśmy pokorni z Jego intencją na ustępstwa, czy Polska odzyska niepodległość, czy Moskwa pójdzie na ustępstwa, czy Polska odzyska niepodległość, ale walczymy o wolną Ojczyznę poprzez wewnętrzzną wolność każdego człowieka, która pochodzi jedynie od Boga. I pamiętajmy, że komunizm nie może pokonać nic innego jak tylko chrześcijaństwo dzięki sile miłości.

Na zakończenie chcę dodać, że nie jestem przeciwny jawnej i tajnej działalności "Solidarności", że nie jestem przeciwny organizacji politycznej, ale jestem za tym, aby umacniać Kościół w Polsce oraz wszelkimi możliwymi sposobami dążyć do Boga i Zbawienia.

P. L.

I w nawiązaniu do ostatniego akapitu chciałoby się powiedzieć, że przecież nie ma tu żadnej sprzeczności. Działanie na rzecz umacniania międzyлюдzkich więzi i solidarności, braterstwa i nieustannego wewnętrznego doskonalenia, a więc kulturowania przykazania o miłości bliźniego - wcale nie musi wykluczać dążenia do uzyskania wolności również zewnętrznej. Wolność duchowa jest niezbędna dla nabrania dystansu wobec tych, którzy by chcieli zawiądnąć nami bez reszty; dystansu, który pozwala nam dojrzeć płytkosć i jałowość ich "filozofii" umożliwiają wreszcie usytuowanie ich w dźwięg szeregów groteskowych postaci historii, których "potęga" ulegała w byle podmuchem dziełó i o których świat zapominał natychmiast. Sympatyczny przecież tylko minimalnie wzmieni się ponad naszą naturą codziennosć, by stracić z oczu tych namiętnych, naderłych dygnitarzy sączących się łapczywie swym "majestatem", czyli skąpym odbiciem blasku idącego od władców Kremla.

Taki Nic tak jak właśnie religia, kultura chrześcijańska nie jest w stanie nam tego uzasynić, pomoc w dojściu do podobnych konstatacji. Kościół przecież, jak trafnie pisze nasz Czytelnik, uchronił nasz naród po 13 grudnia przed najgorszym - przed całkowitą atomizacją, co było zasadniczym celem wprowadzenia stanu wojennego. Odisolować od siebie wszystkich, a następnie, poprzez prymitywne zastraszanie, doprowadzić ich do zupełnego ubezwłasnowolnienia.

Kościół nas od tego uratował. I chociaż uczynił to całkowicie bezinteresownie, to musimy się czuć Jego dłużnikami; musimy rzeczywiście teraz, kiedy atak zawiadzionej w swych rachubach dyktatury zwraca się coraz wyraźniej w stronę Kościoła - musimy nasz sprzeciw wyrażać jednoznacznie i głośno wszelkimi pokojowymi sposobami, a jeśli zajdzie tego potrzeba również osłanianie fizycznie.

Czy jednak formy proponowane przez Autora listu są w dalszych czasach możliwe do stosowania? Wiele jest w nich z atmosfery pierwszych lat chrześcijaństwa, kiedy wyznawcy Chrystusa kryli się w katakumbach. Dziś Kościół jest, mimo wszystko, mocny i byłoby bardziej naturalne, gdyby do katakumb zesłali komuniści /tylko który by się na to zdecydował?/. Czy wreszta nie przeceniamy ich możliwości, nie demonizujemy niepotrzebnie? Jak mogą obalić istniejącą od 2000 lat instytucję ci, którzy nie potrafia wyprodukować na własne potrzeby wystarczającej ilości sznurka czy gwóźdź?

W każdym razie Autorowi listu życzym z całego serca, aby udało mu się w jak największym stopniu wprowadzić w życie swe idee. Mamy nadzieję, że kiedyś do nas o tym napisze. Czytamy również na listy od innych Czytelników.

Pamiętajmy jednak, że zasadnicza walka o nasz związek powinna się rozgrywać na twardym gruncie rzeczywistości, którą musimy tworzyć z dnia na dzień, wydzierając realistom resztki nadziei na przetrwanie kolejnego zakrętu. Każde zaś szmaranie o swobody demokratyczne może na pewno liczyć na moralne wsparcie Kościoła.

S.S.

STALIN, HITLER - BANDYCKA SPÓŁKA W EUROPIE LAT 1939-1941



Od czterdziestu szesciu lat ZSRR i państwa Osozu skrzętnie ukrywają istotne informacje o układzie Ribbentrop - Łołatow z roku 1939 i o dalszych stosunkach obu państw totalitarnych. Archiwa sowieckiego MSZ traktowane są w tym zakresie z największą tajemnicą, a do wiadomości opinii publicznej /i profesjonalnych historyków/ posiadają się tylko fakt podpisania porozumienia w sierpniu 1939, uzasadniającej je koniecznością obrony interesów osób etnicznie /rasowo?/ uprawnionych do bycia obywatelami ZSRR w sytuacji rozpadnięcia /i/ się państwa Polskiego. Omawiane tu dokumenty pochodzą z dwóch źródeł:

a/ dokumenty dyplomatyczne z niemieckiego MSZ, b/ materiały opublikowane w "Prawdzie" moskiewskiej. Zdaniem niektórych historyków zachodnich, już na początku 1939 pojawiły się pewne aluzje nt. jakiegos porozumienia. Stalin w referacie sprawozdawczym na XVIII Zjeździe WKP/b/ określwszy uczestników bloku: Niemcy - Włochy - Japonia jako "panów agresorów", zwrócił się również przeciwko Anglii, Francji i Stanom Zjednoczonym A.P.:

"Charakterystyczny jest szum, jaki podniosła prasa francuska, brytyjska i amerykańska z powodu radzieckiej Ukrainy. Przedstawiciele tej prasy krzyczą do ochrypnienia, że Niemcy idą na radziecką Ukrainę. Wygląda na to, że ten podżryżany szum miał na celu wywołanie wrogości ZSRR wobec Niemiec, zatruć atmosferę i sprowokowanie konfliktu z Niemcami bez widocznych ku temu podstaw".

Stalin wyjaśnił również, że hitlerowski pakt antykominternowski skierowany jest nie przeciwko Związkowi Sowieckiemu, ale przeciw Anglii, Francji i USA. Doswiadczony dyplomata ma prawo odebrać to jako zaproszenie Hitlera do rozpoczęcia normalizacji stosunków między oboma państwami. Po miesiącu od przemówienia Stalina sowiecki ambasador Kieriekałow, złożył wizytę sekretarzowi stanu niemieckiego MSW, baronowi Weizsäckerowi. Oficjalnie mowa była o dostawach, ale zdaniem Weizsäckera ambasador sow. miał wybać grunt nt. poprawy stosunków między oboma państwami. Inicjatywa sowiecka spotkała się ze zrozumieniem i w ciągu lata wzajemne stosunki stają się coraz żywsze.

3 maja 1939 oznajmiono w Moskwie o zastąpieniu Litwinowa na stanowisku Komisarza d/s zagranicznych przez Wiaczesława Łołatowa. Litwinow, bolszewik starej daty, odpowiedzialny za dotychczasową antyhitlerowską politykę, przy tym żyd, nie należał się na nowym etapie. Łołatow natychmiast przystępuje do rozmów z niemieckim ambasadorem w Moskwie, hr. F. von Schulenburgiem. Już 5 czerwca Schulenburg donosił do Berlina:

"Wydał mi się, że w Berlinie powstało wrażenie, iż pan Łołatow w rozmowie ze mną odrzucił uregulowanie stosunków niemiecko-sowieckich. Nie mogę pojąć, co skłoniło Berlin do takiego wniosku. Istotnie pan Łołatow prawie że wzywał nas do politycznego dialogu. Nasza propozycja o przeprowadzeniu jedynie gospodarczych rokowań nie zadowalała go".

Wkrótce rokowania zostały przeniesione do Berlina. 27 lipca 1939 dyrektor Departamentu Wschodniego MSW Rzeszy Schnurre, wydał obiad, na którym byli obecni sowiecki Charge d'affaire Astachow i kierownik przedstawicielstwa handlowego w Berlinie Babarin. W ciepłej, nieoficjalnej atmosferze Schnurre wypowiedział się o możliwości gospodarczej i politycznej współpracy między Rzeszą i ZSRR. W swym memorandum nt. tej rozmowy Schnurre donosił:

"Astachow, w całkowitej zgodzie z Babarinem, określił drogę zbliżenia z Niemcami jako odpowiadającą interesom obu państw. Zaznaczył jednak, że tempo powinno być wolne i stopniowe. ZSRR dostrzega poważną groźbę dla siebie w polityce zagranicznej narodowo-socjalistycznej".

Odpowiadając Astachowi, Schnurre przedstawił obraz stosunków między trzema totalitarnymi ideologami: niemieckim narodowym socjalizmem, włoskim faszyzmem i sowieckim komunizmem. Oświadczył oni:

"Niezależnie od wszelkich różnic w światopoglądzie i ideologii Niemiec, Włoch i Związku Sowieckiego jest jeden wspólny element, a mianowicie: przeciwstawienie się kapitalistycznym demokracjom. Ani, my, ani Włochy nie mamy nic wspólnego z kapitalistycznym Zachodem. I dlatego wydaje nam się rzeczą nienaturalną, aby państwo socjalistyczne stawiało po stronie Zachodu".

Widocznie odzwierciedlało to stanowisko niemieckiego kierownictwa i samego Fuehrera, co już w połowie sierpnia minister spraw zagranicznych Rzeszy Ribbentrop daje ambasadorowi Schulenburgowi dokładne instrukcje:

"Proszę skontaktować się z Łołatowem i przekazać co następuje: ideologiczne rozbieżności między narodowo socjalistycznymi Niemcami a Związkiem Sowieckim były jedną przyczyną, z powodu której w minionych latach Niemcy i ZSRR podzieliły się na wrogie, przeciwstawne sobie obozy. Wydało się, że wydarzenia ostatniego okresu pokazały, że różnice w światopoglądach nie są przeszkodą dla rzeczowych stosunków między oboma państwami i ustanowienia nowej, przyjaznej współpracy. Rząd Rzeszy stoi na stanowisku, że między Rzeszą Bałtycką a Czarnym nie istnieje problemy, których nie można by było uregulować ku pełnemu zadowoleniu obu państw. Wśród nich są także problemy związane z Korzeniem Bałtyckim i rejonem nadbałtyckim, z Polską, z rejonami południowo-wschodnimi itd. W tych sprawach współpraca między naszymi państwami może mieć tylko pozytywne rezultaty. Rząd Rzeszy i rząd sowiecki powinni na podstawie całego swego doświad-

czenia liczyć się z faktem, że kapitalistyczne demokracje Zachodu są nieubieganymi wrogami zarówno narodowosocjalistycznych Niemiec, jak i Związku Sowieckiego".

Na koncu tej depeszy mowa jest o tym, że min. Ribbentrop gotów jest przybyć do Moskwy z krótką wizytą, by przedstawić poglądy Fuehrera Stalinowi. W odpowiedzi Schulenburg donosił Ribbentropowi:

"Łołatow z największym zainteresowaniem wysłuchał informacji, jaką miałem za zadanie przekazać. Uznał ją jako nader ważną i oznajmił, że natychmiast przekaże ją swojemu rządowi. Dosc nieoczekiwanie Łołatow okazał się bardzo uprzejmy i szczerzy. Odnosiłem wrażenie, że propozycja ministra Rzeszy osobiście odpowiadała Łołatowi. Jest zainteresowany tym, jak Rząd Rzeszy odnosi się do koncepcji zawarcia paktu o nieagresji ze Związkiem Sowieckim".

W pięciu dniach gorączkowej wymiany korespondencji między Moskwą a Berlinem odpowiedź na to pytanie Łołatowa nadeszła wprost od Hitlera.

20.8.1939

Do
Pana Stalina
w o s k w a

Szczerze witam podpisanie nowej, niemiecko-sowieckiej umowy handlowej, jako pierwszy stopień przekształcenia niemiecko-sowieckich stosunków. Przyjmuję projekt paktu o nieagresji, jaki przekazał mi Pański minister spraw zagranicznych, i uważam za rzecz niezbędną jak najszybsze wyjaśnienie związanych z tym kwestii. Jestem przekonany, że protokół uzupełniający, jakiego pragnie rząd sowiecki, może być wypracowany w dość krótkim czasie, jeżeli odpowiedzialny przedstawiciel Niemiec będzie mógł przybyć do Moskwy dla przeprowadzenia rokowań.

Adolf Hitler

Następnego dnia von Schulenburg przekazał depeszę dosłownie odpowiedź Stalina:

21.8.1939

Do Kanclerza
Państwa Niemieckiego
Adolfa Hitlera

Dziękuję Panu za list. Mam nadzieję, że niemiecko-sowiecki pakt o nieagresji stanie się decydującym punktem zwrotnym w polepszeniu politycznych stosunków między naszymi państwami. Narodom naszych państw potrzebne są wzajemnie pokojowe stosunki. Zgoda rządu niemieckiego na zawarcie paktu o nieagresji stwarza bazę dla usunięcia politycznego napięcia, dla ustanowienia pokoju i współpracy między naszymi państwami. Rząd sowiecki upoważnia mnie do poinformowania Pana, że zgadzam się na przybycie do Moskwy Pana Ribbentropa w dniu 23 sierpnia.

Józef Stalin

Wyznaczonego dnia Ribbentrop przybył do Moskwy. W nocy z 23 na 24 sierpnia odbyła się decydująca rozmowa między nim, Stalinem i Łołatowem. W kancelarii MSZ Rzeszy zachowano protokół tej rozmowy, zaklasyfikowanej jako "tajemnica państwowa". Protokół stwierdza w szczególności:

"W czasie rozmowy Stalin, nieoczekiwanie, wzniósł toast za Fuehrera: "wiemy, jak bardzo naród niemiecki kocha swego wodza i dlatego pragnę wypić za Jego zdrowie". Łołatow wypić za zdrowie ministra spraw zagranicznych Rzeszy i ambasadora, hr. von Schulenburga. Ribbentrop wzniósł kielich za Stalina zaznaczając, że to właśnie Stalin w swoim przemówieniu z marca br., które w Niemczech zrozumiano właściwie, całkowicie zmienił stosunki polityczne".

Pomiędzy przyjacielskimi toastami w czasie tej rozmowy, o której później Ribbentrop opowiadał Hitlerowi, że ten czuł się prawie jak wśród towarzyszy partyjnych, uzgodniono ważne zagadnienia międzynarodowe.

"Minister spraw zagranicznych Rzeszy oświadczył, że Anglia zawsze usiłowała i dotychczas usiłuje przeszkodzić rozwojowi dobrych stosunków między Rzeszą i Związkiem Sowieckim. Anglia jest skąba i chce, aby inni podtrzymywali jej wygórowane pretensje do panowania nad światem. Stalin od razu zgodził się z tym i zauważył, że istotnie, armia brytyjska jest skąba. Jeśli mimo to Anglia jeszcze panuje w świecie, to tylko na skutek głupoty innych państw, które zawsze pozostawały się oszukiwać. /.../".

Ostatnim tematem rozmowy był pakt antykominternowski.

"Minister spraw zagranicznych Rzeszy zaznaczył, że pakt antykominternowski był - ogólnie mówiąc - skierowany nie przeciwko Związkowi Sowieckiemu, ale przeciw zachodnim demokracjom. Wiedział on i mógł się domyślać z tonu prasy sowieckiej, że rząd sowiecki zdaje sobie z tego w pełni sprawę. Stalin wtrącił, że pakt antykominternowski przestraszył przede wszystkim londyńskie City i drobnych angielskich kupców. Minister spraw zagranicznych Rzeszy zgodził się z tym i żartobliwie zaznaczył, że Stalin przestraszył się paktem antykominternowskim w mniejszym stopniu, niż City i angielscy sklepikarze. A co o tym myślał Niemcy, wynika z krążącego od miesięcy żartu, pochodzącego od znanych ze swego dowcipu berlińczyków; że Stalin jeszcze przystąpi do paktu antykominternowskiego".

Według Ribbentropa, wszystkie warstwy niemieckie ciepło przyjęły i powitały ustanowienie porozumienia ze Związkiem Sowieckim.

"Stalin odpowiedział, że w pełni w to wierzy. Niemcy chcą pokoju i dlatego witają przyjazne stosunki ze Związkiem Sowieckim. Minister spraw zagranicznych Rzeszy przerwał mu w tym miejscu i powiedział, że naród niemiecki niewątpliwie chce pokoju, z drugiej strony oburzenie z powodu Polski jest tak silne, że wszyscy, co do jednego, chcą walki. Naród niemiecki nie będzie więcej znosił polskich prowokacji".

Głównym rezultatem tej rozmowy było zawarcie niemiecko-sowieckiego paktu o nieagresji, który został opublikowany w "Prawdzie" 24 sierpnia 1939. W oficjalnych środkach przekazu przemilczano jednak istnienie tajnego protokołu uzupełniającego. Oto pełny tekst tego protokołu, ujawniony już po wojnie z niemieckich archiwów:

"Z okazji podpisania paktu o nieagresji między Niemcami i Związkiem Socjalistycznych Republik Sowieckich, niżej podpisani przedstawiciele obu stron omówili w poufnych rozmowach sprawę dotyczącą rozgraniczenia ich sfer interesów we Wschodniej Europie. Rozmowy te doprowadziły do następującego porozumienia:

1. Na wypadek przekształcenia terytorialno-politycznego obszaru należącego do państw bałtyckich: Finlandii, Estonii, Łotwy i Litwy, północna granica Litwy tworzy automatycznie granicę sfery interesów niemieckich i Związku Sowieckiego; przy czym obie strony uznają roszczenie Litwy do terytorium wileńskiego.

2. Na wypadek terytorialno-politycznego przekształcenia terytoriów należących do państwa polskiego, wpływy interesów niemieckich i Związku Sowieckiego będą rozgraniczone w przybliżeniu przez linię: Narzew, Wisła, San. Kwestia, czy w interesie obu stron uznane będzie za pożądane utrzymanie niepodległego państwa polskiego, zostanie definitywnie zdecydowana dopiero w ciągu dalszego rozwoju wypadków politycznych. W każdym razie oba rządy rozwiążą kwestię praw na drodze przyjaźielskiego porozumienia.

3. Jeżeli chodzi o południowy wschód Europy, to ze strony rosyjskiej podkreślić należy zainteresowanie Besarabią. Ze strony Niemiec stwierdza się zupełne desinteresowanie odnośnie tego terytorium.

4. Protokół ten traktowany będzie przez obie strony w sposób ściśle tajny.

Moskwa, 23 sierpnia 1939

Za Rząd Niemiecki
-/ Joachim von Ribbentrop
Przedstawiciel pełnomocny
Rządu ZSRS
-/ Wiazesław Mołotow

Ów tajny protokół stał się de facto umową o podziale Europy, przede wszystkim Polską, między Stalinem i Hitlerem, co było bodźcem do rozpoczęcia drugiej wojny światowej. Pakt o nieagresji między Rzeszą a ZSRS został ratyfikowany w Moskwie 31 sierpnia 1939, a 2 września "Prawa" donosiła:

"Działania wojenne między Niemcami a Polską.

Berlin, 1 września /TASS/

Jak podaje niemieckie Biuro Informacyjne, dziś rano wojska niemieckie zgodnie z rozkazem Naczelnego Dowództwa przekroczyły granicę niemiecko-polską w różnych miejscach. Jednostki niemieckich sił powietrznych również skierowane zostały do bombardowania obiektów wojskowych w Polsce".

3 września Anglia i Francja, na podstawie istniejącej umowy o wzajemnej pomocy na wypadek agresji, wypowiedziały wojnę Niemcom. Tegoż dnia minister spraw zagranicznych Rzeszy skierował do swego ambasadora w Moskwie depezę następującej treści:

"Mamy bezwzględna nadzieję, na ostateczne rozbicie polskiej armii w ciągu kilku tygodni. Chcemy przejść pod wojenną okupacją tereny, które - jak ustalono w Moskwie - wchodzi do niemieckiej sfery wpływów. Jest jednak zrozumiałe, że ze względów wojskowych będziemy zmuszeni podjąć działania przeciwko tym polskim siłom wojskowym, które w tym czasie będą się znajdowały na terytoriach polskich wchodzących w rosyjską sferę wpływów. Proszę omówić to niezwłocznie z rządem i zbadać, czy Związek Sowiecki nie uznaje za pożądane, aby armia rosyjska wystąpiła w odpowiednim momencie przeciwko siłom polskim w rosyjskiej sferze wpływów i ze swej strony okupowała to terytorium. Wydaje się, że to nie tylko pomógłoby nam, ale także, zgodnie z umowami moskiewskimi, byłoby w interesie sowieckim".

Odpowiedź na pytanie Ribbentropa nadeszła bardzo szybko. 5 września ambasador niemiecki w Moskwie, von Schulenburg, donosił depezę:

"Mołotow przekazał mi następującą odpowiedź rządu sowieckiego: zgadzamy się z panami, że w odpowiednim momencie będzie dla nas rzeczą całkiem niezbędną rozpocząć konkretne działania. Uważamy jednak, że czas ten jeszcze nie nastąpił. Może się mylimy, ale wydaje nam się, że nadmierne pośpiech może nam przynieść szkody i przyczynić się do zjednoczenia naszych wrogów. Rozumiemy, że w trakcie operacji czasowo jedna lub obie strony mogą być zmuszone przekroczyć linię demarkacyjną między swoimi sferami wpływów. Ale takie wypadki nie powinny przeszkodzić w bezpośredniej realizacji wyznaczonego planu".

Niezdecydowanie Sowietów Schulenburg wyjaśnił trudnościami tego rządu w uzasadnieniu przed społeczeństwem tak nieoczekiwanej zmiany swej, dotychczas antyniemieckiej, polityki. W depeży z 6 września Schulenburg donosił:

"Szczególne wątpliwości wywołują twierdzenia oficjalnych agitatorów, że Niemcy nie są już agresorem. Rząd sowiecki robi wszystko, co może, aby zmienił stanowisko społeczeństwa wobec Niemiec. W prasie i radiu... nie tylko ustały wszelkie wypadki przeciwko Niemcom, ale i relacjonowanie obecnych wydarzeń w polityce zagranicznej oparte jest w przeważającej mierze na niemieckich doniesieniach. Antyniemieckie publikacje wycyfrowane są z księgarni i bibliotek".

Koniec os. I

/Na podstawie audycji Rozgłośni Polskiej Radia BBC przygotował M.W./

Cyprian Kamil Norwid

ZAGADKA

Z wszelkich kajdan, czy? te są
Powroźowe, złote czy stalne?...
Przeziątki najbardziej krwią i żną -
N i e w i d s i a l n e

! MAŁE ! MIESZKANKO

Jednym z najbardziej tragicznych węzłów gordyjskich polskiego realnego socjalizmu jest tzw. problem mieszkaniowy. Stał się on "wzdlęcznym" tematem zajeżdżanym do upadku przez prowincjonalnych publicystów, dostrzeganym także przez niższe i wyższe władze, które jak zwykle przejęte są głęboką troską. Jeśli jednak przyjmiemy tę troskę za dobrą monetę, to odnosi się ona wyłącznie do ilości. Jakość zaś pozostaje w głębokim cieniu, gdyż jest tym niezachętnym wskaźnikiem, który tak bezwzględnie i jednoznacznie odsłania rzeczywiste oblicze socjospodarki. Zdając sobie sprawę ze wstydlivosti tego problemu, władze sięgają po różne pozorne, połowiczne rozwiązania. Pierwszym takim posunięciem była specjalna uchwała Rady Ministrów wprowadzająca pojęcie "wad technologicznych", nobilitująca pospolite partacstwo. Od tej pory zaczęto prowadzić oficjalną, poważną statystykę tych wad, z podziałem na rodzaje, obszary występowania; zaczęto badać stopień ich wzrostu i obniżania się: powstawały tabele, wykresy, diagramy. W ośrodkach naukowych związanych z budownictwem są już pierwsi doktoranci z tej dziedziny.

"Wady technologiczne" zdobyły sobie prawo obywatelstwa już wszędzie - począwszy od samego projektu, poprzez konstrukcję, materiały budowlane, zakładanie izolacji, aż po prace wykonawcze. Najsmutniejsze jest to, że - może z wyjątkiem tych ostatnich - wszystkie inne mogą w skrajnych przypadkach prowadzić do trwałych uszkodzeń zdrowia ludzkiego, a nawet śmierci. mogą i, niestety, prowadzą. Nie mówimy tu o tak koszmarnych i spektakularnych katastrofach, jak wybuchy gazu w nowych osiedlach. Są to bowiem afery jednostkowe, głosne na cały kraj, kiedy to pod presją wyjątkowej sytuacji władze przechodzą do defensywy, starając się udostępnić nadzwyczajne /a jakże w swej istocie załozne/ środki poszkodowanym i pragnąc wszelkimi sposobami jak najszybciej uciszyć wrzawę. Istnieje jednak jeszcze coś innego.

Oto z mgły dezinformacji wiania się z wolna rozlega, przerażająca kraina wielkopłytowych socjalistycznych słumsów, kruszących się domów zbudowanych z brukujących i promieniotwórczych materiałów - druga Polska, zapluskowana, zżerana przez mrowki faraona, karakara, myszy i szocury. Nieustraszone władze tej faunie zmienia system. Kto wie, czy w socjalizmie nie doczeka się ona pewnego dnia uchwały mianującej ją "biedami technologicznymi".

Domy walą się doskownie. W Łodzi pamiętamy dwa tego rodzaju wypadki; odpadnięcie ściany szczytowej i zawalenie się pustej, na szczęście, części nowo wybudowanego bloku. O wiele groźniejsza jest sytuacja w województwie katowickim. Tam, od roku 1979 w wielu budynkach o konstrukcji monolitycznej, postawionych metodą szlifową lub deskowa przestawnych, budynkach 13-, 19, i 25-kondygnacyjnych z pumeksoplytobetonu i agloporytobetonu, wystąpiły zjawiska masowego zgnięcia ścianek działowych /w okresie 2-5 lat od chwili wprowadzenia się lokatorów/, a następnie odpadania tynek na elewacjach i pionach komunikacyjnych, pęknięcia ścian nośnych, pęknięcia podłóży podposadzkowych oraz uszkodzeń instalacji gazowych, centralnego ogrzewania, wodociągowych i kanalizacyjnych, prowadzących tym samym do ich pęknięcia na złaczach.

Co wykazały ekspertyzy? Wina rozkłada się stosunkowo równomiernie: począwszy od niedostatecznego przygotowania geodezyjnego /pospiech/, tak bardzo istotnego na terenach wstrząsów górniczych; poprzez wadliwe rozwiązania projektowe, takie jak nie odpowiadające normom oparcie płyt stropowych czy brak ciągłości konstrukcyjnego zbrojenia podporowego; aż po niechlujne, złodziejskie wykonawstwo polegające na niedostatecznej jakości jakości ścianek żelbetowych, zastosowaniu do wsporników stropowych betonu lekkiego zamiast żwiru-betonu, na wadliwym wykonaniu instalacji sanitarnych unieruchamianych w przejściach przez ściany bez możliwości odszczepienia się. Beton lekki ma tę właściwość, że nadmiernie się kurczy i "peksa", zaś odszczepienia skurczowe nakładają się na nadmierne ugięcia stropów powodując, że część obciążeni przenosi się na ściany działowe i korytarzowe, które pękają.

Konsekwencją jest bezpośrednie zagrożenie życia lokatorów 1000 mieszkań przez możliwość sawalenia się budynków, wybuchów gazu, salania wodą. Nic dziwnego, że ludzie starają się uciekać z tych socjalistycznych domków z kart. Składają podania o zamianę mieszkań. Tylko dokąd uciekną? Zjawisko osiąga w tej chwili skalę narastającej katastrofy budowlanej i każda taka ucieczka może oznaczać trafienie z deszczu pod rynnę. W województwie katowickim jest już coraz mniej miejsc nie zagrożonych tąpnięciami /wsuktek eksploatacji wgła "na zawal"/. Uciekinierom przyszedła się zazwyczaj mieszkania rotacyjne, częściej jednak powstaje konieczność umieszczenia ich w domach nowo wybudowanych. W ten sposób czas oczekiwania zasadniczej "kolejki" wydłuża się jeszcze bardziej.

Zakładamy jednak, że pochwiec, który na szczęście uniknął śmierci pod gruzami swego pierwotnego mieszkania, otrzyma drugie! tym razem zmontowane solid-

nie i z materiałów o wytrzymałości odpowiadającej normom. Czy ma przez to gwarancję, że nic mu już nie grozi? Najmniej jest! Istnieje natomiast ogromna szansa, że jeśli świat los mu oszczędzi przemarzających ścian zewnętrznych, to owe ściany i stropy kryją w sobie jeszcze coś, co mimo wszystkich wspomnianych wyżej zwyrodnień - jest chyba najstraszniejsze: toksyczność.

Trucizna promieniuje zewsząd: ze ścian działowych, mebli, podłóg, tapet boazerii, asylnamity, chlorowcopochodne węglowodory aromatycznych, węglowodory chlorkoorganiczne, formaldehyd, ftalany, amoniak i fenol - to różne postacie niszczących systematycznie i długozalowo ludzkie zdrowie trucizm promieniujących ze środków impregnychych do płyt pilśniowych i drewna, ze środków odgrzybieniolowych, z tworzyw sztucznych, lepków i pap smołowych, pyłt gipsowo-kartonowych, klejów, farb i lakierów. Wszystko to rzem wzięte powoduje długotrwały przykry i specyficzny zapach chemiczny, przypominający smołę, środki dezynfekcyjne, naftalinę, stęchliznę. Jest on szczególnie intensywny nad podłogą, przy ramach okiennych i drzwiowych. Won ta działa ujemnie na zdrowie, zwłaszcza dzieci. Pierwsze wypadki zatruc /śmiertelnych/ wystąpiły w 1975 r. w Szkole Podstawowej nr 80 w Gdańsku. Wkrótce ujawniły się dalsze "afery chemiczacyjne": w Białymstoku, Kielcach, Suwałkach, Zakopanem, Przemysłu, Warszawie i Płocku, obejmując swym zasięgiem cały kraj. Najwyższe dopuszczalne stężenia fenolu i formaldehydu przekraczane tam były kilkakrotnie. Skutki mogą być koszmarnie: teratogenne /potwornienie płodu/, mutagenne /organiczne zmiany pokoleniowe/, embriotoksyczne /skażenie płodu/, niedokrwiłość aplastyczna, działania sumujące się /polegające na tym, że efekt końcowy zatrucia stanowi sumę cząstkowych działań i stężeń poszczególnych związków/. Objawy doraźne to: bóle i zawroty głowy, otępienie /encefalopatia/, zmęczenie, podrażnienie spojówek i górnych dróg oddechowych. Na przykład encefalopatii można się nabawić po odgrzybieniu mieszkania toksycznymi impregnatami.

Charakterystyczne jest, że w czasie gdy istniał zakaz stosowania ksylnamitów w pomieszczeniach dla zwierząt, magazynach pasz i żywności, jednocześnie owołowiażywo impregnowano drewna i materiałów drewnopodobnych w budownictwie mieszkaniowym, na przykład, płyt pilśniowych - w proporcji 1 kg ksylnamitu na 1m² płyty. Odpowiedni decydenci uznali widac, że organizm ludzki jest znacznie odporniejszy, bo jeśli chodzi o zwierzęta, to już po roku wchłaniania przez cielęta i jałową związków wydzielanych przez ksylnamit trzeba było z konieczności dokonać uboju 15 sztuk /na 25/. Najpierw cierpiały one na napadomy kaszel, utrudniony oddech, przewlekłą rozdemę pęcherzykową płuc, niedobór wagi. Mięso tych cieląt nie nadawało się do jedzenia.

Trudno jest przesądzić w doborze określeń, opisując to wszystko. Ma to po prostu wymiar apokaliptyczny. Może nie wszyscy zdają sobie sprawę z powagi sytuacji, gdyż na razie ofiarą padają tylko organizmy słabsze. Jest to jednak, jak już wspomniano, działanie długofalowe. O rozmiarach niebezpieczeństwa musi świadczyć fakt, że dotarło to nawet do betonowych /z pewnością nie-lekkie te betony/ mózgw rządców PRL, gdyż rada ministrów podjęła uchwałę /137/84/ w sprawie zasad finansowania usuwania niektórych wad /w tym i toksyczności/ w pomieszczeniach dla ludzi.

Ale... od razu zaznacza się socjalistyczny styl działania. Po pierwsze uchwała nie została opublikowana, aby nie wzbudzić nadmiernych nadziei na poprawę sytuacji, a jednocześnie nie robić oficjalnego szumu wokół samego problemu. Po drugie zaś jej tekst jest tak zredagowany, że w praktyce redukuje do minimum użyteczność uchwały. Przede wszystkim obejmuje ona tylko budynki mieszkalne oddane do użytku przed 1 stycznia 82, choć po tym terminie materiały toksyczne nadal są używane; a następnie ogranicza czas swego działania do 31 grudnia 87 r. Po tej dacie korzystne zasady finansowania usuwania wad przestają być aktualne. W każdym razie, jeżeli ktoś nie zdąży usunąć tych wad, będzie to wina jego, a nie władzy.

Nie bez powodu też ta paroniona uchwała mówi tylko o niektórych wadach - prócz toksyczności w grę wchodzi również pęknięcie i zgniatanie ścian oraz zapadanie się podłóg posadzkowych. Tu zagrożone jest ludzkie życie, więc władzom potrzebne jest alibi. I to nie jedno. Drugim jest uchwała RM nr 25/84. Uchwała ta zobowiązuje producentów materiałów budowlanych do uzyskiwania dla swych wyrobów znaku jakości i bezpieczeństwa - stwa oraz przewiduje konsekwencje za niedopełnienie tego obowiązku. Ktoś tu może pomyśleć, że za przekazanie inwestorowi materiałów budowlanych toksycznych lub nie odpowiadających normom wytrzymałościowym uchwała grozi wytwórcy np. wstrzymaniem produkcji. Nic podobnego! Otóż jeżeli producent wprowadził do handlu swój towar z pozytywnym świadectwem, które okazało się błędne, to ta partia materiału zostaje wycofana z użytku. I to jest kara najsurowsza, choć akurat nie w pełni zawniona przez producenta. Jeżeli natomiast wytwórca "rzuca" na rynek swój szmelc, nie uzyskawszy nań świadectwa jakości, to uchwała dopuszcza ten szmelc na plac budowy, obniżając jedynie jego cenę o 20%. O 50% zaś spada cena materiałów wówczas, gdy ich wytwórca sprzedaje je inwestorowi, nie próbując nawet uprzednio zdobyć znaku wymaganego przez uchwałę. W ten sposób socjalistyczne państwo opiekuńcze skalkulowało sobie CENĘ ZDROWIA I ŻYCIA swych obywateli i odliczyło ją od ceny toksycznych materiałów budowlanych. Pierwsze, zgodne z tą uchwałą badania dyskwalifikowały wszystkie przedłożone elementy, które następnie, po obniżonej cenie, zostały wmontowane do naszych miesz-

kań. Wytwórcy, mimo wszystko, odpłaca się produkować materiały budowlane bez znaku jakości i bezpieczeństwa. Przeszłoby mu się to odpłacać, gdyby wprowadzano również rzekomo w budownictwie reforma miała charakter rynkowy, gdyby działalność wytwórni elementów budowlanych regulowana była nie odgórnie, czyli planowniczymi ustawami, ale podlegała kontroli poziomej ze strony gospodarczych współpracowników na danym terenie. Powinnością to musi mieć charakter sterylnej ekonomicy. Wszelka domieszka ideologii jest piaskiem rzuconym w tryby mechanizmów autentycznej reformy. Rzecz polega na tym, że wszystkie przeszkody pokonać można przez wprowadzenie samodzielności przedsiębiorstw, a w konsekwencji - swobodnego rynku budowlanego. Jest to równoznaczne z reformą decentralizacyjną, a tę właśnie władze uważają za nie do przyjęcia, zagrożona ona bowiem osiągnięciu wyższych celów polityczno-gospodarczych, o których słuszności decydenci są przekonani, gdyż ich świadomość wyprzedza świadomość poddanych. Pryncypialne ambicje inwestycyjne są zaradliwe - w odpowiedniej skali są udziałem prominentów również na niższych szczeblach władzy, a więc w tak zwanym terenie. W ten sposób powstają plany, które w chaosie panującym w budownictwie są jedynie pustą konstrukcją. Zmienność nie dających się przewidzieć procesów techniczno-ekonomicznych uniemożliwia zarówno działania nakazowe, jak i racjonalne przydzielanie zadań, nie mówiąc już o kontroli ich wykonywania. Tylko jednoznaczne i trwałe zerwanie z zależnościami służbowymi w układzie pionowym sprowadziłoby budownictwo na drogę ku stworzeniu wolnego rynku budowlanego.

Ale dlatego właśnie władze do tego nie dopuszczają i dlatego przedsiębiorstwa budowlane będą bezkarnie sprzedawać za pół ceny swe trujące materiały, nie obawiając się ani odpowiedzialności karnej, ani bankructwa ekonomicznego. Wolna gra rynkowa krytykowana jest u nas jako prowadząca do wstrząsów gospodarczych i społecznych, do upadku przedsiębiorstw pociągających za sobą bezrobocie z jednej strony, a nadmierne bogactwo innych - z drugiej. Jest więc niemoralna. Jak jednak określić moralność sankcjonującą stan permanentnego zagrożenia zdrowia setek tysięcy ludzi?

Jakże niewinnie wyglądają na tle tego wszystkiego owe tradycyjnne, rzecz by można, staroświeckie, swojskie wady - takie jak nieszczelność okien i drzwi, dziurawe dachy itp., a więc te usterki, które kiedyś bywały celem lub przedmiotem tak ostrej i zjadliwej krytyki i satyry. Jaka satyrę można by dziś napisać na zakazony lub potworzący plód w łonie matki mieszkającej w "wielkiej płycie"? Party w tej dziedzinie bezpowrot - nie się skończyły.

Jednakże w cieniu tego katastroficznego wątku partac two tradycyjnne rozkwita tym bujniej. Staje się ono zresztą coraz trudniej dostrzegalne, wtapia się w rzeczywistość, przybiera postać polskiej normy. Sensacją bywa wiadomość o solidnym, rzetelnym wykonaniu pracy, jaką jest postawienie i wykończenie budynku mieszkalnego, a minister budownictwa Kukuryka /sam jakby żywcem wyjęty z hierarchii gnuśnych, infantylnych i niechlujnych carskich biurokratów/ zaczyna w TV obywateli, żeby sami spróbowali coś zbudować, to się przekonają, jaka to trudna i niewdzięczna praca.

Zbadano reprezentatywną próbkę domów zbudowanych w trzech różnych technologiach i stwierdzono w poszczególnych blokach następujące procenty mieszkań bez wad: system "Szczecin": 16-50%, system W-70: 25-65% i system WK: 11-22%. A więc przeciętna wynosi 31,5% budynków z mieszkaniami bez wad. Zresztą takich budynków prawdopodobnie nie ma. Po prostu wszystkie mieszkania bez wad stworzyłyby taką ilość budynków.

Ciekawie układają się proporcje poszczególnych elementów nie obciążonych wadami: drzwi wejściowe do mieszkań są bezbłędne tylko w 70%, ściany działowe w 60%, a ściany wewnętrzne nośne w 40-70% /zależnie od technologii/, ściany szczytowe są dobre w 40-50% /j.w./, stropy nad piwnicami nie budzą zastrzeżeń w 15-65%, okna w mieszkaniach w 15-35%, drzwi balkonowe uday się jedynie w 10-30%. Prawdziwe rodzynki zaś to okna pralni i suszarni - idealne w granicach 2-15%, pokrycia dachowe w 5 - 40% i wreszcie okna piwnic: zero do 10%. A więc pierwsze zero zostało już w budownictwie osiągnięte!

Plaga przemarzań i przecieków dotyka 1/4 wszystkich budynków /10,7 tys. budynków - 239 tys. mieszkańców/. W 7.143 domach trzeba wymienić 4,34 mln popekanych kaloryferów /grzejników płytowych/. W roku 1983 usuwanie wad pochłonęło 55 mld złotych. I w tej sytuacji władze mają czelność wypominac społeczeństwu dotacje z budżetu państwa do cen żywności. Te dziesiątki miliardów złotych to przecież nic innego jak dotowanie nieudolności własnego systemu, jego kompletnie dezorganizowanej, objętej paralizem ideologicznym gospodarki, a pieniądza na to brane są tylko z naszej kieszeni. My dotujemy dalszy pomyślny rozwój tej czerwonej gangreny!

Co najwyżej z ciężkim sercem można by dzisiaj śpiewać refren przeboju sprzed trzydziestu paru lat: "Ach, zamieszkać, zamieszkać wysoko i zapraszać gołębie do okien...". Chyba, że się jest jeszcze na końcu kolejki oczekujących, gdyż być może za owoch dwadzieścia kilka lat albo się zmieni technologia budownictwa, albo też wszyscy, którzy przeżyją, będą mieszkać w zuniifikowanych, egalitarnych jamach wydrążonych w warstwie promieniotwórczego popiołu - w oczekiwaniu na nuklearną zmię. Co jest bardziej realne, niech Czytelnik rozstrzygnie sam.

podziękowania:

Seweryn Sieniewicz
Tom - 2,0; Decydent - papier 2; Ronald II - materiały
Uparci - 2,0; Poryg - 1,8